

# ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 4 sierpnia 1946 r.

Nr 25 (36)

Stefan Sulima

## Spotkanie z Gdańskiem

W latach międzywojennych podróz do Gdańska była źródłem bardzo pomieszanych uczuć. Odwieczny polski sentyment do tego dziwnego miasta był tu wystawiony na ciężką próbę rozczarowań i rzadko wychodził z niej cało.

Z reguły, gdy dla wrażeń, wychodziliśmy rankiem na ulice Starego Miasta, serca przepelniało wzruszenie i życzliwość dla tych uroczych kamienic, tak bogato powleczonej patyną polskiej świetności historycznej. Czuło się dumę, że wyrosły one ze złotej fali polskiego zboża, z dalekiej wędrowni polskiej sosny masztowej, a przede wszystkim w słońcu polskiej tolerancji, w wspaniałym klimacie duchowym, gdzie ogólno-ludzka kultura (tutaj choćby świetny jej nurt flamandzki) znalazła wdzięczne podłoże. — Były chwile, kiedy nam się zdawało, że można jednak pokochać to miasto bez reszty a nad wszystkimi przeszkojami przeszłości i teraźniejszości próbować przejść do porządku dziennego.

Ale były to chwile złudnego nastroju, które miały szybko i bez śladu. Zaledwie słońce wyszło nieco ponad szczyty zabytkowych kamienic, przyskał czar i Gdańsk pokazywał drugie, nienawistne oblicze. — Milka niema mowa gdańskich murów, do głosu dochodził człowiek. Ten sam, który niegdyś wdarł się tu podstępem i przemocą, a utrzymał bezwzględnością i obludą. Dziś załatwiał się z wczoraj bez większego trudu, a działał się to kosztem polskiej dumy narodowej, ranionej na każdym kroku. Malało znaczenie przeszłości, narastała pretensja do niej, że choć tak świetna, obarczona była tylu słabościami. W rozgoryczeniu i imponującym duchu tolerancyjny okazywał podszewkę wygody i bierności szlacheckiej, politycznej krótkowzroczności i ciasnoty horyzontów ziemiankich. Stawał się irytującym rekwizytem, jakimś zenującym faux pas w odniesieniu do zwykłej zachłanności i cynizmu.

Jeszcze gorzej było, gdy między nami a zabytkami Gdańska stawał butny, nadęty przewodnik niemiecki, z karkiem przelewającym się przez obcisły „Vatermörder“ i tryumfalnie rozprawiał o kulturze niemieckiej, o jej przewagach i wyjaśniał, że tu w tym miejscu sławna „deutsche Tüchtigkeit“ i rozliczne „Tugenden“ niemieckiej nacji jaśnieją szczególnym blaskiem. Zdawało się wtedy, że wszystkie błędy przeszłości spryskiwały się przeciw nam i z siłą fatalizmu wywierają na nas ślepa zemsta.

Jakże słabą pociechą była świadomość, że o krok pod posadzkami kościołów leżały polskie, niderlandzkie, szwedzkie i... niemieckie kości, o których marmurowe nagrobki i tablice świadczyły, że nie dla niemieckich cnót, ale do słońca polskiej cywilizacji zbiegały się rozliczne nacje, by zaspokoić pragnienie swobodnego życia i tworzenia — a w końcu w tej ziemi obiecanej znaleźć spoczynek dla swoich prochów.

Słabą też było pociechą, że wspaniały oliwski organ, dzieło polskiego cystersa, głuszył nienawistny belkot i grzmiał potęgą basów. Misterny mechanizm wprawiał w ruch barokowych aniołków: podnosiły tryumfalnie fanfary, biły w srebrzyste dzwonki — a nad nimi pod sklepieniem wirowały ciała niebieskie.

Z licznych ołtarzy patrzeli wszędzie polscy święci: obaj Stanisławowie, Kazimierz, Jacek, Józefat i in. Z ram obrazów wyglądały konterfekty polskich fundatorów i dobrodziejów. Na wspaniałych ta-

blicach patrycjuszowskich wspomniano przebrzmiałe imiona „najjaśniejszych królów Polski“. Z ratuszowej wieży patronował miastu pośniedziały Zygmunt August, ale u stóp jego panoszył się obcy duch i czynił niemymi usta umarłych i żywą wymowę prawdy.

Gdy pociąg wtacza się na zrujnowany dworzec gdański, który stoi frontem do pustyni ruin, odżywiają wspomnienia i obawy. Wiadomo, że Gdańsk leży zdruzgotany i takim jak ongiś nigdy go już nie zobaczymy. Miasto, o którym przeszłe pokolenia marzyły, że będzie znowu nasze, że wniesie Ojczyźnie wspaniałą posag swych materialnych i kulturalnych skarbów, wraca do nas, jak syn marnotrawny, w stanie nieopisanego ruin.

Gdzie szukać wspólnego mianownika dla tych usypisk gruzu i dawnej, minionej świetności?

Dreńczy obawa, by łączącym ogniwem nie okazała się jakaś zmora przeszłości, która przetrwała, by dalej mącić spokój żywych i umarłych.

Jeśli starym zwyczajem, z amatorstwa wrażeń, wyjść wczesnym rankiem na ulice Gdańska, nim napływ ludności z okolicznych siedzib nie ożywi pustki ulic, miasto robi wrażenie pobojuwiska. Cisza jest tu cmentarna, przerywana echem dalekich syren kolejowych i brzęczeniem tramwajowych dzwonek. Nagie ściany ruin nastroją na ton obojętności i rezygnacji, jak samotne cyprysy kontemplujące uroki włoskiego nieba. Jedynym przejawem życia zdaje się tu być lekki wietrzyk poranny, który przerzuca porzucone papiery i porusza strzępami blachy, zwisającymi ze zniszczonych domów.

Ranek gdański trwa długo — jakby nie krepowany prawami czasu. Życie napływa w arterie uliczne później niż dawniej. Ale i to kalekie miasto ma swoją godzinę ożywiania po nocnym letargu tak specyficzną dla wszystkich wielkich miast. Z wolna z pociągów, tramwajów i autobusów wyraża się coraz liczniejsza rzesza ludzka, coraz pełniejszy nurt płynie w martwe uliczki, cisza napełnia się tupotem kroków i rozgwarem rozmów. Jest to chwila oczekiwania i napięcia nerwów. Kiedyś od niej zaczynało się pasmo całodziennych doświadczeń i udręki. Jak będzie dzisiaj? Stopniowo napięcie maleje — przychodzi odprężenie. Nie przyska żaden czar, nie wypelza żaden upiór, nie dreńczy przeszłość. Dalekie wieże kościołów odcinają się na tle błędnego nieba i z patetycznym wyrzutem demonstrowują czeluście swych ran. Oto cena, wybawienia z chciwego Smętkowego uścisku, a zarazem jedyny kontrast w obliczu dzisiejszego Gdańska: blade poranne niebo i tragiczne kikuty kamiennych szkieletów.

Daremnie uczulona wrażliwość wylapuje odgłosy życia i czeka na zgrzyt pierwszego dysonansu. O poszczerbione mury uderza nierówny rytm kroków i tylko żywe polskie słowo, odbite od ścian wpada w ucho czysto i lotnie.

Gdańsk jest wolny od upiorów.

Niemniej pierwsza przechadzka po Gdańsku nastroja przynębiająco. Na pierwszy rzut oka ogrom wyrządzonych zniszczeń przechodzi najgorsze oczekiwania. Z najwspanialszych zabytków miasta nie zostało nic, albo straszliwie niewiele. Ucierpiał dotkliwie wspaniały ceglany gotyk gdański. Zachowały się zaledwie kościół dominikański św. Mikołaja, kaplica Kazimierzowska i połowa kościoła św. Trójcy. Reszta, wliczając w to zabytki bu-

downictwa miejskiego, leży w mniejszej lub większej ruinie i w wielu wypadkach nie da się odtworzyć. Charakterystyczny renesans gdański, który w Polsce reprezentuje drugą obok włoskiej, flamandzkiej, odmianę tego stylu przez zniszczenie arsenału, częściową ruinę bram, oraz szeregu zabytkowych kamienic ucierpiał równie ciężko. Patrycjuszowski barok, dzieło niderlandzkich przeważnie mistrzów, niezliczone zabytki budownictwa mieszczańskie, urządzenia wnętrz, sienie gdańskie, nieprzebrane morze dzieł sztuki i twórców artystycznego rzemiosła gdańskiego, zniknęły w lwiej części z powierzchni ziemi. W gruzach legły urocze zaułki i uliczki gdańskie, malownicze partie nad Motławą, stare kazalnice budynki mieszkalne, starożytne spichrze, resztki fortyfikacji, jak owa słynna Latarnia w pobliżu ujścia Wisły. Ze wzruszeniem staje się przed ocalałą Wysoką Bramą — zabytkiem renesansu —, w zaułku koło św. Jana, lub w okolicy Rybiego Rynku. Wobec tych fragmentów dawnego Gdańska uzmysławia się dopiero ogrom strat kulturalnych, nie mówiąc o materialnych, jakie Polska poniosła w tym zabytkowym mieście. Strat nie do odrobienia. Gdy się bowiem zważy ogrom zniszczenia, konieczność wprzęgnięcia w pracę nad odbudową Gdańska olbrzymich sił i środków, ogarnia pesymizm co do przyszłości miasta na daleką nawet przyszłość. Zresztą, choćby nawet zadać sobie niebywały trud podźwignięcia go z gruzów, dawna świetność zabytków gdańskich w całości nigdy nie da się przywrócić. Tymczasem w Gdańsku zbyt mało się dzieje, a zbyt wiele widzi się braków i niedociągnięć, by móc żywić jakieś złudne nadzieje. Na pierwszy rzut oka miasto jest martwe, jeśli nie liczyć czynnych urzędów i handlowego ruchu, który koncentruje się na tradycyjnym „placu“.

Dystans dwumiesięczny między jedną a drugą wizytą, złożoną Gdańskowi, jak każdy dystans, robi dobrze miastu i obserwatorowi. Przede wszystkim, raz widziane ruiny tracą dużo ze swej ponurej atrakcyjności, więcej zainteresowania natomiast budzą przejawy życia i zaszły w wyglądzie miasta zmiany. W ciągu dwóch miesięcy w Gdańsku wyraźnie przybywa ludzi, aut, linii tramwajowych. W dwa miesiące potrafi się zmienić fizjognomia

## Perspektywa Odry

Jest rzeczą zdumiewającą fakt, jak to moda na Odrę, którą nazwaliśmy kiedyś rzeką przeznaczenia, odsunęła w cień totalnego zaniedbania zagadnienie Wisły, naszej największej polskiej arterii wodnej. Już dziś ani poezja, ani publicystyka, ani — co najdziwniejsze — krajowe życie gospodarcze, nie interesują się Wisłą. Tymczasem zarówno na falach wiernej Odry, jak i na falach najukochańszej Wisły unosi się barka naszej Ojczyzny.

Opierając się na autorytecie Eugeniusza Romera, możemy powiedzieć że choć Wisła jest dzięki swym osobliwym związkom hydrograficznym wskazana przez przyrodę, by stała się najważniejszą arterią komunikacyjną całego obszaru Rzeczypospolitej — przecież stanowi w tym względzie rzekę zupełnie martwą: „Cały obrót towarowy na rzekach polskich, poza spławem surowego drzewa, wynosi zaledwie 3 % polskich obrotów morskich, a tylko 1 % polskich obrotów kolejowych. Obrót towarów na rzekach przekracza w Niemczech 30 % obrotu kolejowego“. Tak było w roku 1937. Jak jest teraz?

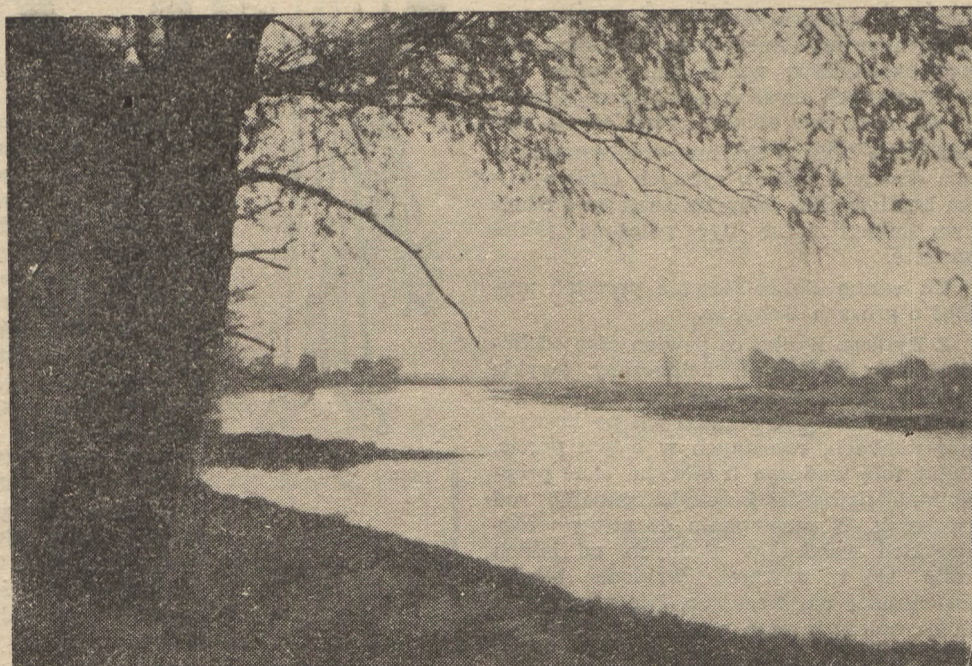
Jeśli wiemy, że Odrą płyną już pierwsze barki z węglem, a nie wiemy niczego o Wiśle — to nas to niepokoi. Jeśli wiemy, że rozpoczęto już generalne prace nad uporządkowaniem uregulowanej Odry to radość nasza z tego powodu jest przyćmiona troską o nieuregulowaną w ciągu dziejów Wisłę. Znakiem dowodnym naszego zaniedbania w tej sprawie jest fakt nieposiadania do tej pory wyczerpującej monografii tej macierzystej rzeki Polski.

Gdy Odra stanowi lewe ramię siły i wielkości naszego Państwa — Wisła jest naszym ramieniem prawym. Zdrowy rozwój kraju jest do pomyślenia jedynie przy równorzędnym wykorzystaniu obu tych sił.

Pewien historyk osiemnastowieczny powiedział: „Rzeki, małe czy duże, niosą szczęście i nieszczęście, władają nad zdrowiem, pożywieniem, dobrem i złem człowieka, a władają dłużej od Augustów i Ludwików, lepiej od Trajanów, nieugiętej i srożej od Neronów...“

Od nas zależy, czy nasze, ogromnej, potencjalnej wartości, rzeki przyniosą nam szczęście pracy i dobrobytu, czy nieszczęście zastoju.

Pragniemy, by ten głos z nad Odry odezwał się echem nad Wisłą. Zby.



Krajobraz nad dolną Odrą

tworca, a ratusz starego miasta wrócić do niepełnej formy. Ulice w okolicy tych budynków spięte są siecią wąskotorowych szyn, po których przebiegają kopiaty ładowane wózki z gruzem i małe lokomotywy. Koło ratusza, na tyłach św. Józefa nareszcie powstaje jakaś wolna przestrzeń, z której uprzątnięto gruz i rumowisko. Jeden narazie bagier zgrzyta mozolnie przy rozbiórce murów, nie mniej dosyć jest kilku godzin, aby wyniki jego mordęgi były na oko widoczne. W bocznych uliczkach coraz częściej rozlega się pracowite stukanie młotów, kilofów, brzęk łopat i nawoływanie ludzi. Inicjatywa publiczna i prywatna pospołu czepia się resztek „ocalałych” parterów i pięt. Nowy Gdańszczanin stopniowo oswaja się z warunkami i szuka punktów zaczepienia tam, gdzie przeciętny mieszkaniec nie zniszczonych dzielnic Polski kiwa z politowaniem głową. W okolicach Raduni, szmerzącej pośród gołych szczerbatych murów, napotyka się na przyklepioną do samotnej ściany piekarnię i wózek konny, do którego piekarz i pomocnicy ładują pieczywo. W innym miejscu pozostały cudem jakieś dwie kulawe kamieniczki, w których osmolony jegomość montuje z zapalem jakąś zardzewiałą całość. Trudno narazie przewidzieć, co powstanie na tym odludziu za dalsze dwa miesiące. Fabryczka wody sodowej, warsztat ślusarski, czy poprostu magiel. To pewne jednak, że już wkrótce turkot, leżących dziś w nieładzie wałów i kół zębatach przerwie panującą dokoła ciszę.

Te drobne i nieznaczące wiele objawy budzą sympatyczne echa i napawają jakąś nieokreśloną bliżej ufnością. W obliczu tych pocieszających paradoksów ludzkiej przedsiębiorczości i mimowolnej groteskowości, gdzie zapał i brak kalkulacji tworzą realne osiągnięcia, łatwo zapomina się o całokształcie gdańskich zagadnień. Jest w tych przejawach inicjatywy jakieś antidotum na niedawny pesymizm, coś kiedy i ono nie jest w stanie na stałe przekonać nas o epokowości tych drobnych wysepki życia. Podobnie nietrwale wzrusza widok tatrzańskiej szarotki, wegetującej samotnie w przygodnej szczelinie. Chłodna refleksja ostrzega rychło przed wysnuwaniem przedwczesnych wniosków. Od izolowanych warsztatików i kramików do normalnego życia, od pustych placów do zaludnionych dzielnic prowadzi bardzo a bardzo daleka droga. Mierzenie sił na zamiary i cwaniacka brawura mogą triumfować na małych odcinkach wielkiego frontu walki o odrodzenie Gdańska, ale dźwignąć go do nowego bytu może tylko zdecydowana zbiorowa wola, potężne środki i przemożna konieczność życiowa. A tego za drugim razem nie dostrzega się jeszcze w Gdańsku. I tym razem można opuścić miasto to z niepewnością czy wróci ono zbyt prędko do swego niedawnego znaczenia. Można przy tym nie przeczuć nawet, jak blisko było się odpowiedzi na kapitalny dylemat: „być lub nie być” Gdańska. Cała bowiem sztuka dostrzeżenia jego perspektyw rozwojowych polega na uwolnieniu się we właściwym momencie od obsesji ruin, w których daremnie szuka się zadatków nowego życia, a zwrócenia uwagi na elementy, które od wieków wyznaczały Gdańskowi należne miejsce.

Okolica Rybiego Rynku należy do najbardziej zniszczonych partii miasta. — Z miejsca, skąd dawniej patrzyło się w malowniczą perspektywę Motławy z symbolicznym prawie Żurawiem i fasadami starych spichrzów, widać dziś szpaler pogruhotanych zwalisk i zgliszcz. Wszystkiego może dwa obiekty ostały się na malowniczej Wyspie Spichrzów. Ale na miejscu dawnych targów rybnych ocalało kilka kamieniczek, jakby na znak, że i władz tu śmierci muszą być położone jakieś granice.

Tu winno się ostatecznie przestać myśleć o gruzach Gdańska.

Z Rybiego Rynku co pewien czas odchodzi mały stateczek, ochrzczoney zwykle jakimś dziewczęcym imieniem. Załadowuje pasażerów i rozwozi ich po licznych przystankach, rozsianych w całym porcie. Pełni rolę wodnego tramwaju, choć przypomina najbardziej chyba pudełko od sardynek. W porównaniu do mrowia różnorodnych wehikułów wodnych, od jakich roilo się tu dawniej, wygląda bardzo śmiesznie i nieobiecująco. Nie zawsze jednak należy ulegać perswazji pozorów i warto naprawdę dać się skusić na godzinną przejażdżkę, i bez niej nie należy wyjeżdżać z Gdańska. Będzie to godzina sil-

nych i niecodziennych wzruszeń, połączone osobliwej przyjemności pływania i emocji czytania w otwartej księdze portowego składu zapada spokojnie w naszą świadomość i ta homeopatyczna dawka rzeczywistości nie zaprzęta więcej naszej uwagi i wyobraźni. Nawet tu w Gdańsku nie kojarzy się nam z rzeczywistością. Szukając morza, jedziemy do Sopot, tętno życia gospodarczego idziemy śledzić na „plac”. Całymi dniami chodzimy sobie z ważnym szczegółem w naszym narodowym życiu, nie konfrontując go z rzeczywistością. Co najwyżej zabawiamy się domyślnym stwierdzeniem, że w ramach gdańskiego obrotu znajduje się także miejsce dla naszej realnej puszkki z UNRRa, przeznaczonej na miesięczny przydział. Zacieśnienie naszych horyzontów, do szeregu zwykłych i prozaicznych zainteresowań, uchodzi naszej uwadze, choć jest to defekt, na skutek którego nasza zdolność oceny zjawisk ogólnych i przerwania pomostu od naszych małych codziennych spraw ku pełnym dynamiki procesom zbiorowego życia, ulega niebezpiecznemu zanikowi. I naprawdę warto się przejechać małym stateczkiem, choćby tylko dla otwarcia sobie oczu na jedno z ukrytych upośledzeń i pobudzenia się do intensywniejszego myślenia. Mała „Maria” czy

„Teresa” jest bowiem utalentowanym popularizatorem wielkich zagadnień, udostępnia lakoniczne, sucho sformułowane relacje dziennikarskie, nadaje im rumieńców życia. Można zaryzykować twierdzenie, że pióra jej śrubby, które pienistym ściegiem znaczą nieruchomą powierzchnię Motławy, mają dar zapisywania jakiejś białej, dotąd niewypełnionej, karty w naszej świadomości. Nauka jest prosta, przekonywująca i pedagogicznie łączy przyjemne z pożytecznym. Kręcimy się między magazynami i nadbrzeżami stoczni, mijamy mniejsze i większe statki o dziwnych imionach i egzotycznych nazwach macierzystych portów. Im głębiej zapuszczamy się w portowe wody, jest ich coraz więcej i więcej. Stateczek przemyka się między wielkimi transportowcami, sławnymi „Liberty”, tankowcami, obdrapanymi trampami, czarnymi węglowcami skandynawskimi, nie omija szwedzkiego trójmasztowca, romantycznego w dzisiejszych czasach anachronizmu. Port jest panoptikum osobliwości, których pamięć uległa stopniowemu zatarciu. Im więcej widzi się statków, tym silniejsze jest uczucie wydobywania się z jakiejś fatalnej izolacji, w jaką wpuściło nas sześć czarnych lat niewoli. Okazuje się, że te lata nie tylko druzgotały nasze poszczególne egzystencje, krępowały je i sferę ich działania zacieśniały do najprostszyc czynności. Tego samego uderzenia w podstawy swego życia doznał także nasz organizm zbiorowy, państwo. Te statki, które pod jedynastu banderami każdego dnia przybywają do Gdańska, odbudowują na nowo skomplikowaną

sieć związków Polski ze światem i odnawiają zasadniczą funkcję w gospodarce każdego narodu, jaką stanowi wymiana dóbr materialnych.

Szczególnie niezapomniane wrażenie wywołują nadbrzeża węglowe, żywa ilustracja tego kapitalnego procesu. Już z daleka zwracają uwagę mrowiem kominów, opasanych wstęgami kolorowych obwoidek. Okręty dosłownie oblepiają obydwą brzegi potężnego kanału, gdzieniegdzie stoją jeden obok drugiego. Małe i wielkie kadłuby, oznaczone różnorodnymi flagami, chłonna góry węgla, wędrujące przy pomocy wagonetek, transporterów, bagrów i dźwigów z nadbrzeża w ciemne czeluście komór węglowych. Wśród międzynarodowej rzeszy klientów krążą małe holowniki i pokrzykują buńczucznie z głębi ochrypłych syren. Co pewien czas któryś z nich podprowadza do nadbrzeża wysoko wynurzonego cudzoziemca, lub boryka się z siedzącym w wodzie aż po linię wodną kolosem.

Nie tu nie przypomina suchych i nudnych kolum statystycznych, czy długich wielocyfrowych ogonów liczb, które nam mają rzekomo uprzystępniać ogarnięcie zawrotnego obrazu obrotów portowych. Wszystko jest tu proste i w swym ogromie łatwe do zrozumienia. Wszędzie wre życie, nie ustaje ruch — a widowisko to jest tak fascynujące, że rozbudzona wyobraźnia z trudem powraca do równowagi, gdy stateczek zostawia za sobą nadmorskie królestwo węgla.

Jeszcze jedno przeżycie, i to bodaj najgłębsze, czeka u kresu przejażdżki. W porcie realizm i romantyzm uzupełniają się nawzajem i emanują pełną nieoczekiwaną kombinacją i zestawieniem egzotyki portowej. To kalejdoskopowe pomieszanie obrazów, jakie wywołuje człowiek w swej działalności, igrając masą, przestrzenią i czasem ma w sobie coś, co przypomina swoiste emocje karuzeli. Morze ma inny narkotyczny czar, którego źródłem jest nieograniczona potęga żywiołu. Mijamy postrzelaną latarnię i zieloną Westerplatte — dwa symbole i świadectwa polskiego parcia do Bałtyku i tragicznych zmagania o kawałek piaszczystego brzegu morskiego. Na krótko wchodzimy na morze. W zatoce kołysze fala, wiatr od morza zapiera dech w piersi i targa każdym strzępkiem odzienia. Jest w tym coś tak upajającego i obezwładniającego, że człowiek bezwładnie zapada w jakieś ekstazy od drętwienia. Piersi chciwie chłoną słony podmuch, na twarzy osiada delikatny pył wodny. Przychodzi na myśl maniacko, w czasie okupacji, pożerana lektura marynistyczna i ta atmosfera klatki, z której tak chętnie uciekało się myślą i marzeniem ku wolnym przestrzeniom wód. Spełniają się bezzilne tęsknoty, potężne tchnienie Bałtyku spleca z lichwą gorycz niezaspokojonych pragnień.

Stateczek zawraca wolno ku Leniwec. Nadmiar wrażeń, rozbudzona wyobraźnia i jakaś elastyczniejsza praca mózgu, stanowi owoc zwykłej na pozór i nieobiecującej przejażdżki. Wracamy na Rybi Rynek. Z daleka widoczne ruiny Gdańska przybliżają się wolno. Wyglądają smutno, ale już nie tak beznadziejnie, jak dotąd. Przypominają raczej schorowanego pacjenta, z obawą czekającego na wynik diagnozy. Nic już nie sugerują, są spokojniejsze w swym trągnięciu. Diagnoza jest uspokajająca. Niewątpliwie stan zmasakrowanego miasta jest opłakany i odbudowa jego nie jest sprawą prostą. To, co było powiedziane o zbiorowej woli, o środkach i o konieczności życiowej — musi być podtrzymane w całej rozciągłości. Ale są wszelkie dane po temu, że pacjent będzie żył i wróci znowu do zdrowia. Istnieje bowiem realna siła, która jest w stanie wyczarować Gdańsk przyszłości: dynamiczna potęga morza, wyzywająca twórcze siły człowieka. Przypuszczalnie nadejdzie czas, gdy w porcie gdańskim zaroi się przy wszystkich nadbrzeżach. Otworzą wrota nieczynne dzisiaj magazyny i spichrze — w pneumatycznych arteriach elewatorów zaszumi polskie już zboże. Skrzyżują się szlaki wymiany najróżnorodniejszych towarów i surowców całego świata. Gdańsk będzie żył nie tylko z UNRRY i węgla. Wtedy życie zmieni wygląd miasta według swoich odwiecznych praw.

A kiedyś pewnie i mariackiego kościoła nie będzie się zamykać fragmentem potrzaskanej kraty, umocowanej zwojem kolczastego drutu, zaś w okolicy św. Piotra i Pawła samotny magiel nie będzie się przekomarzał z obojętną ciszą.

JAKUB CISIŃSKI

## Słowianom

Nikt nie widzi, nie słyszy... Tam, na północy  
Wzduęte góry bałwanów drobna łódka porze;  
W zapamiętałym gniewie pędzi na nią morze,  
Bezsilnie się załoga z żywiołem szamoce!

Jeden za drugim pada... Ranki, dnie i noce  
Konających osłabłych dziki nurt batoży! —  
Ku południowi patrzą, jak ku zbawczej zorzy...  
Litości zwą dla kruchej łódki na północy!

Lecz znikąd ocalenia. — Jedna li śmierć wschodzi,  
Ojcu i matce dźwiatwę w twardą dłoń porywa.  
Na pomoc! Nim ich zmoże toń bezmiłościwa!

Na pomoc! Kto ma w piersi uczucia człowieka,  
Kto słyszy świst śmiertelny fal, o niech nie zwleka.  
Na pomoc! Nim ostatni wioślarz skona w łodzi!

Z lużyckiego przełożyła Julia Wieleżyńska



„Przez rozgromienie Lutyków Mieszko I-szy nie tylko na jakiś czas zламаł przeciwsłowiańską politykę najezdniczych Germanów, lecz równocześnie ustalił zasady budowy Państwa Polskiego, zdobywając ujście Odry, a z nim rozszerzając i utwierdzając dostęp do morza. ODRĄ JEST RZEKĄ POLITYCZNEJ KONCEPCJI POLSKI PIASTOWSKIEJ. Wraz ze swymi dopływami wiąże Odra łączny blok przestrzenny. We władaniu pierwszych Piastów znajdowała się ziemia górnej Odry: Śląsk. Była ziemia środkowej Odry: Łużyce i Ziemia Lubuska. Kto nie chciał stracić tych dwu terenów, musiał mieć jeszcze dolny bieg rzeki. Tę oczywistą prawdę potwierdza dalsza historia: Polska traciła te trzy części w kolejności przeciwnej, jak je zdobywała: najprzód Pomorze, później Lubusz, a na końcu Śląsk”.

Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy”.

Edward Serwański

# O ośrodek zachodniej myśli politycznej

Kolebką państwa polskiego była Wielkopolska. Poznań, jako jej stolica — był głównym ośrodkiem myśli i dyspozycji politycznej powstającej Polski. W Poznaniu ukształtowała się koncepcja państwa, z Poznaniem zrosły się też wszystkie tradycje zachodniej polityki.

Ze zmianą stolic Rzeczypospolitej zmieniły się i kierunki polityki polskiej. Ziemia macierzysta w dziejowym procesie stała się peryferią państwa polskiego, a najcenniejsze z tych ziem utraciliśmy na długie wieki.

W Poznaniu pozostał ośrodek najtrwalszej polszczyzny i tu też najwyższe były tradycje walki z niemczyzną.

Nie dziwi więc, że po pierwszej wojnie światowej Uniwersytet Poznański stał się jednym z głównych ośrodków badań naukowych, poświęconych zagadnieniom zachodnim. I tak zostało do 1939 roku.

Ale raz rzucony posiew myśli nie zmarł. W dniach ciężkiej konspiracji — gdy wiadomym było wierzącym w idee szczęśliwego powrotu na macierzyste ziemie, żeśrodkowały się na nowo umysły, by po przeprowadzeniu zagadnień zachodnich stworzyć konkretny ośrodek badawczo-naukowy.

Tak powstał w roku 1944 Instytut Zachodni. Instytut Zachodni — ulegalizowany postanowieniem Premiera w lutym 1945 r. — jest inicjatywą społeczną. Koncepcja utworzenia Instytutu wyrosła z pragnień zachodniego społeczeństwa, przebijającego na „emigracji“ w Polsce Centralnej — a mianowicie: kół naukowych, politycznych, publicystycznych, dziennikarstwa. Jest to stwierdzenie ważne. Z góry określa to bowiem właściwe znaczenie i pozycje Instytutu Zachodniego.

I sprawa druga — nie powstał Instytut w 1945 roku, tworzony na gwałt, ad hoc, celem dobudowania do wytworzonej wypadkami politycznymi rzeczywistości, podstaw naukowych i politycznych. Począł się niejako naturalnie, tworzył organicznie, stając się w konspiracji jednostką organizacyjną jako jedyny wykładnik już istniejącego w społeczeństwie zachodnim programu, a przede wszystkim siły tego społeczeństwa, uzbrojonego zdecydowaną wolą powrotu na Zachód.

W twierdzeniu powyższym nie jesteśmy gołosłowni. Instytut właśnie obchodzi rocznicę swego istnienia w niepodległej Polsce. A w jednym roku zrobił tak wiele, tak cenny jest wkład myślowy Instytutu w dziedzinę problemów zachodnich, że niesposób pomyśleć, aby mógł to zadanie spełnić w tak krótkim czasie, gdyby powstał poprostu z okazji. Wielki już dziś zespół członków, jeszcze większy zespół współpracowników, pochodzących z wszystkich ośrodków naukowych z całej Polski, wreszcie szereg dobrych pozycji w dziedzinie wydawniczej, jest tego najlepszym dowodem.

Myśl utworzenia Instytutu była jasna. Precyzuje to w swym pierwszym sprawozdaniu z rocznej działalności obecny dyrektor Instytutu w ten sposób: „Zasadnicza koncepcja Instytutu Zachodniego wyrażała się w tym, że nie miał on zastępować Uniwersytetu, lecz miał korzystać z jego sił i warsztatów naukowych — pod dwójakim kątem widzenia: Po pierwsze chodziło tu o zmobilizowanie sił naukowych dla zorganizowanej pracy nad zagadnieniem polsko-niemieckim w jego wielopostaciowym wyglądzie. Po drugie o uprawnienie w pewnej mierze nauki t. zw. stosowanej, tj. o formułowanie tez, które oparte na solidnej podstawie badawczej mogłyby mieć bezpośrednie zastosowanie w życiu. Z tego ostatniego wynika oczywiście w pewnej mierze sama postawa badawcza, tj. narzucała się potrzeba badania w danej chwili takich a nie innych zagadnień. Twórcy Instytutu zdawali sobie sprawę z wagi i potrzeby nauki t. zw. czystej, której istnienie jest jedną z cech, znamionujących nasz zespół cywilizacyjny, jak też odcinali się i odcinają od nadużywania nauki w życiu. Niemniej nie może ulegać wątpliwości, że celowe jest stosowanie uczciwych wyników naukowych dla potrzeb życia i formułowania zagadnień, od których rozwiązania zależy postawa

życiowa. Szczególnie silnie ujawniło się to wtedy, kiedy każdemu indywidualnie i narodowi jako całości śmierć zagładała w oczy. Wtedy wszyscy bez patosu i bez wielkich słów znaleźć się musieli na pierwszej linii frontu, by o byt lub niebyt narodu walczyć tą bronią, jaką władca potrafił. Walczyli zaś bronią w tym przekonaniu, że wtedy tylko spełnią swój obowiązek w odniesieniu do narodu“.

Zgodnie z ustalonym porządkiem pracy zabrano się przede wszystkim w Instytucie do zagadnienia nowej naszej granicy zachodniej, czego wyrazem jest dzisiaj już znana powszechnie i popularna w Polsce praca prof. Kielczewskiej i prof. Grodka pt. „Odra, Nysa najlepsza granica Polski“.

Dla ugruntowania jednakże problematyki zachodniej granicy w opracowaniu zbiorowym ukazała się książka pt. „O lewym brzegu Odry“. Fakt poważnego przesunięcia się terytorialnego państwa polskiego ze wschodu z powrotem na zachód wywołał obok potrzeby przeprowadzenia zagadnienia granicy zachodniej na Odrze i Nysie sprawę podstaw geograficznych Polski. Temu zadaniu służyć ma nowa praca Instytutu, która niebawem się ukazuje pt. „O podstawy geograficzne Polski“.

Jako dalszy postulat swoich programowych dążeń nałożył na siebie Instytut Zachodni trudne zadanie przyswojenia całemu polskiemu społeczeństwu niewątpliwie zapomnianych już dziejów Ziemi Odzyskanych. Prace z tej dziedziny rozpoczęte już w konspiracji częściowo ukazały się, względnie ukazały się w najbliższym czasie. Choć inicjatywa tych prac wyszła z Instytutu Zachodniego — zgodnie z podziałem kompetencji z Zachodnimi Instytutami szereg tych prac wydanych będzie w Instytucie Śląskim i Bałtyckim. Niemniej jednak zasługę opracowania tych dzieł związać można z Instytutem Zachodnim. Tak więc ukazały się Kaczmarczyka i Piwarskiego trzypięciotomowe „Dzieje Śląska“, Piwarskiego „Dzieje Gdańska“ i „Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych“, wreszcie prof. Karola Górskiego: „Dzieje Prus Wschodnich w wiekach średnich“. Chcąc jednakże w całej pełni przeprowadzić problemy zachodnie w ich wieloznacznej postaci, z samej natury rzeczy trzeba było zająć się jak najszerszym problemem niemieckim, a z w szczególności niemiecką nauką, która dając się łatwo nadużyć do celów politycznych szeregiem świadomie rozpowszechnionych kłamstw, nie tylko że zniekształciła obiektywny przebieg dziejów na Ziemiach Odzyskanych, ale gorzej, udało jej się ugruntować różne fałszywe w nauce i opinii europejskiej. Na tym tle ukazała się praca Lehr-Splawińskiego: „O pochodzeniu i praojczyźnie Słowian“.

Z problemem niemieckim niemiernie ściśle związane jest zagadnienie wkładu kultury polskiej w dorobek kultury powszechnej. Sprawa ta o tyle jest ważna w rozgrywce polsko-niemieckiej, że Niemcy zawsze twierdzili i nadal twierdzą, jakoby kultura polska ukształtowała się dzięki wpływom kultury niemieckiej. Aby tym kłamstwom położyć kres, Instytut Zachodni wyda dwutomową pracę dyrektora Frieberga na temat tego zagadnienia.

Specjalną rolę spełniły już, i to czysto praktyczną a wynikającą z wielkiej potrzeby współczesnego naszego życia narodowego i państwowego, dwie sekcje Instytutu: geograficzna i onomastyczna.

W sekcji geograficznej prowadzonej pod kierownictwem prof. M. Kielczewskiej a przy współpracy prof. U. P. d-ra Zierhoffera i doc. U. P. d-ra Krygowskiego wydano mapę Polski Zachodniej, a ostatnio też mapę okręgu mazurskiego, przygotowuje się mapę Ziemi Lubuskiej, wreszcie projektuje mapę Pomorza Zachodniego. Niezależnie od powyższych prac i zamierzonych zadań, Instytut zajął się opisami Ziemi Odzyskanych. Na warsztacie leży „Geografia Nadodrza i Ziemi Lubuskiej“.

Kierownictwo sekcji onomastycznej spoczęło w rękach zasłużonego i doświadczanego, prof. U. P. Mikołaja Rudnickiego. Do współpracy powołano d-ra K. Kolańczyka i d-ra Wł. Rusińskiego. W oparciu o wielki dorobek naukowy ks. kano-

nika St. Kozierowskiego, zwłaszcza dzięki jego „Atlasowi nazw geograficznych Słowiańszczyzny Zachodniej“, wreszcie bezpośredniej współpracy z Instytutem, ogłoszono przedruk części pierwszej atlasu, poświęconej Pomorzu Zachodniemu, słownik dla Ziemi Lubuskiej i Śląska. Trwa nadal praca nad imiennictwem na Ziemi Lubuskiej i na Pomorzu. W opracowaniu Władysława Chojnackiego ukazał się: „Słownik polskich nazw miejscowości w b. Prusach Wschodnich i na obszarze Wolnego Miasta Gdańska według stanu za rok 1939“.

Ponadto w Instytucie pracują: sekcja prehistoryczna, prowadzona przez d-ra Z. Rajewskiego, sekcja etnograficzna, kierowana przez prof. B. Stelmachowską, sekcja dokumentacyjna z dr. K. M. Pospieszalskim na czele, sekcja prawna, prowadzona przez prof. d-ra Kasznicę i ostatnio utworzona sekcja niemiecznawcza pod kierownictwem d-ra Klafkowskiego.

Z wszystkich sekcji niewątpliwie największym dorobkiem poszczycić może się sekcja dokumentacyjna, dzięki której ukazał się już w serii „Documenta Occupationis Teutonicea“, tom I i tom II ze zbiorów protokółów i dokumentów o zbrodniach, popełnionych przez Niemców w Warszawie w czasie powstania. Na warsztacie dalsze tomy.

W cyklu: „Badania nad okupacją niemiecką w Polsce“ ukazała się już pierwsza praca d-ra K. M. Pospieszalskiego: „Polska pod niemieckim prawem, 1939-1945 (Ziemia Zachodnie)“. W przygotowaniu w tym samym cyklu prace prof. Rutkowskiego, dr. Klafkowskiego i dr. Deresiewiczza.

Niekłóre z tych sekcji ze względu na początkowy okres prac publikują chwilowo swoje wyniki w „Przeglądzie Zachodnim“, znakomitym miesięczniku Instytutu Zachodniego, mającym już swoją dobrą markę także poza Polską. Do czerwca włącznie ukazał się już 11-ty numer tego miesięcznika, pozostającego pod redakcją Kiryła Sosnowskiego.

Obok prac cytowanych już wyżej poważną niewątpliwie pozycją jest dzieło Zygmunta Wojciechowskiego, obecnego dyrektora Instytutu pt. „Polska — Niemcy — dziesięć wieków zmagania“.

Ścisłe związana z procesem zmagania polsko-niemieckich jest praca d-ra Z. Kaczmarczyka pt. „Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry“. Obok tych prac Instytut zainicjował t. zw. Małą Bibliotekę, w cyklu której ukazała się praca d-ra J. Widajewicza pt. „Niemcy wobec Słowian Połabskich“ i Biblioteczkę Ziemi Lubuskiej z pierwszą pracą „Polacy na Ziemi Lubuskiej w r. 1938“ (wg. tajnych źródeł niemieckich).

Krótki i skromny to zaledwie zarys szczęśliwych poczynań Instytutu Zachodniego.

Jeśli udało się tej placówce badawczej w tak krótkim czasie rozwinąć szeroko zakrojoną działalność wydawniczą, to jest to niewątpliwie zasługą bodajże najlepiej pracującego wydziału, mianowicie Wydziału Wydawniczego, kierowanego doświadczonej ręką wspomnianego już mgr. Kiryła Sosnowskiego.

Właśnie ten przegląd dotychczasowych prac, a i niemiernie rzecz ważna — rami zainteresowań, predystynują Instytut do odegrania ważnej roli we współczesnym życiu narodowym Polski.

To, że Instytut Zachodni znalazł swą siedzibę w Poznaniu nie jest przypadkiem. Nie można było bowiem wybrać sobie lepszego miejsca dla tego rodzaju pracy. Poznań dziś, ze względu chociażby na nowy układ geopolityczny państwa polskiego, wraz z Wielkopolską stał się centralnym ośrodkiem Ziemi Zachodnich. Siłą rzeczy, znaczenie Poznania wzrosło i nadal wzrastać będzie. Ale fakt ten nakłada na Instytut tym poważniejsze zadania. W Polsce musi powstać jeden wspólny ośrodek zachodniej myśli politycznej.

Przed wojną nie mieliśmy w Polsce żadnego takiego ośrodka wiedzy, który by wyłącznie poświęcał się zagadnieniom zachodnim. Było u nas wprost przeciwnie aniżeli w Niemczech, Niemcy do swej po-

lityki podbojów i kolonizacji, do swej brutalnej idei, popieranej na przestrzeni całego tysiąclecia siłą i gwałtem budowywali bez przerwy teorię i doktrynę pseudo-naukowe. Teorie te i doktryny powstawały właśnie w pseudo-naukowych instytucjach. My tymczasem nie potrafiliśmy nawet dla obrony naszych najżywniejszych interesów nie tylko stworzyć jakiegos ośrodka wiedzy stosowanej, ośrodka, który by wyłącznie opierał się na uczciwych wynikach badań naukowych — ale gorzej — nie stworzyliśmy nawet systemu wiedzy stosowanej, który by pozwolił przynajmniej jakoś zorientować się w tych tak zachwaszczonych przez pseudo naukę niemiecką i politykę problemach.

Dziś, w obliczu wielkich zadań, jakie stoją przed nami, nie tylko trzeba będzie oczyścić zachwaszczone kłamstwami przez Niemców dzieje stosunków polsko-niemieckich, ale więcej — ugruntować zachodnią myśl polityczną w całym narodzie i jeszcze więcej — dać poważną, według najwyższych wymogów nauki, koncepcję odbudowy Ziemi Odzyskanych.

Właśnie Instytut Zachodni chciałbyśmy widzieć w wielkiej roli tego ośrodka, który mógłby to zadanie spełnić.

Instytut Śląski ogarniał przed wojną swym zainteresowaniem tylko sprawy Śląska, nawet mniej, bo ograniczał się przeważnie w swych zainteresowaniach do Śląska, który przypadł Polsce. Instytut Bałtycki w początkowej swej fazie poświęcał się sprawom Pomorza, z czasem zmienił kierunek swych zainteresowań ku sprawom morskim i zamorskim.

Tak więc dziś wszystkim predystynuje Instytut do tego, aby stał się tak nam potrzebnym głównym ośrodkiem politycznej myśli zachodniej. A obok poważnej pozycji, jaką zdołał sobie Instytut wypracować już w tak krótkim czasie, ma i inne dane, które prawem życia tę rolę wprost mu wyznaczają. Świadczy o tym poważna już dziś liczba członków Instytutu. Powaga autorytetów naukowych członków, których udało się zmobilizować prof. dr. Zygmunta Wojciechowskiemu stanowi najlepszą gwarancję pomysłowych perspektyw dla Instytutu na przyszłość.

Niemniej ważkim czynnikiem żywego naturalnego rozwoju organizacyjnego Instytutu są już istniejące trzy jego oddziały, w Lesznie i Osiecznie, w pld. Wielkopolsce (sekcja prehistoryczna), oddział drugi w Szczecinie, a trzeci w Toruniu.

Wielki wkład pracy i życia ostatniego roku obecnego dyrektora Instytutu świadczy o pełnym oddaniu się sprawom organizacji nowego ośrodka. I co w tym ośrodku jest najważniejsze: Instytut Zachodni zamienia się powoli w pewnego rodzaju szkołę myślenia politycznego. Może to dziś pochopnie jeszcze stwierdzenie, raczej wyraz naszych życzeń — faktem przecież jest, że udało się obecnemu dyrektorowi zebrać koło siebie szereg młodych uczonych, fachowców i zarazem znawców szeregu dziedzin zachodnich.

Trwale kontakty z władzami państwowymi, z instytutami zachodnimi, z ośrodkami nauki w ogóle, wreszcie z organizacjami społecznymi, dopełnią niewątpliwie procesu ukształtowania się w ramach organizacyjnych Instytutu Zachodniego prawdziwego ośrodka zachodniej myśli politycznej w Polsce.

## W najbliższych numerach „Odry“ ukaza się m. in.:

Kazimierza Olszewskiego: „Chopin na Śląsku“

Józefa Mitkowskiego: „Tego księcia uczył Długosz“

Kazimierza Gołby: fragmenty dramatyczne

Marii Jarochońskiej: „Rzecz jasna“

Stanisława Helsztyńskiego: „Powieść o siostrze Chrobrego“

Andrzeja J. Kamińskiego: „Druga dusza“

Józef Nacht

# Po tamtej stronie

Dopiero gdzieś około 11 roku życia dowiedział się, że jest Żydem. Dzieciom obca jest owa gorzka świadomość przynależności rasowej. Dzieci do jakiegoś 15-go roku życia nie popełniają samobójstw.

W gimnazjum podczas nauki religii chłopcy dzielili się na dwie grupy. Żydzi wchodzili do sali gimnastycznej, gdzie wśród milczących koni i kozłów słuchali z niezdrowym podnieceniem opowiadań o Sodomie i Gomorze, o sędzi Salomona, i siódmach Putyfary, o miłosnych nocach Dalili.

W klasie zostawali tylko katolicy. I Chrystus, wiszący na krzyżu, król żydowski...

Na krzyżu olbrzymiej ramy okiennej w gimnastycznej sali, wisiała ogromna tęsknota do owych czasów, kiedy to Samson poraził Filistyny i wędrował w daleką dolinę Sorek, drogą przetkaną dziwną florą i rykiem lwic.

Wtedy Żydzi zakochani na śmierć w wolności, szli w zwartych szykach na groźnego wroga; piękni byli w rzemieńnych sandałach i lśniących hełmach, jakże inni od tych dzisiejszych z ulicy Rejtana, którzy gromadzili się na tej czarnogiędziarskiej wyspie.

Rozgrzanym asfaltem płynęli pod żaglami bród czarnych, białych i czerwonych, zarzucając wędkę z dolarową przynętą, dźwięczną i lśniącą. Oto co zostało im z romantycznego dziedzictwa Przygody. Tylko ta nieklamana część dla narodowych bohaterów, dla zdobywców miast i kontynentów, podziw dla naszych królów i zamorskich prezydentów, kult wyrażany gorączkowym gromadzeniem fotografii owych bohaterów ludzkości, fotografii umieszczanych skromnie na szleszczących banknotach.

Jeśliby skoczył z chodnika na asfalt jezdni, aby przejść wbród na drugi chodnik, utworzą się dokoła ciebie kręgi coraz większe i większe. Rozpłyną się one wkrótce, marszcząc się tylko w oczekiwaniu plusku nowego ciała. Z matryczną niemal tklivością patrzyli czarnogiędziarze w twarz Waszyngtona, twarz błądą i surową. Ze skurczonym boleśnie sercem czytali codziennie biuletyny zdrowia dawno zmarłego prezydenta. Gdy stan się pogarszał, kamieniami tragicznie, aby na jutro z płomiennym entuzjazmem śledzić poprawę zdrowia. W szlesście banknotów, w blasku monet, mieli swoją poezję, muzykę, dramat. Te szeptasty i blaski zastępowały miłość, tęsknotę, przyjaźń. A kiedy zmrok rozsypywał na niebie astronomiczne skarby, najdroższe, migoczące klejnoty i monety, rozsypywał lekomyślnie i niedbale, zmieniał się nagle pejzaż. Brodaci spiskowcy zmieniali się w smukłe nimfy, a wtedy w blaskach i szelstach nadpływały na dziwną ulicę inne rusalki, aby zatrzymać się tuż na zakręcie asfaltowej rzeki. Czasem wyskakiwały na brzeg chodnika i szły wystukując ponure dypodie platfiej miłości i nagle zatrzymywały się świecąc czerwonymi neonami warg, aby wskazać drogę zbłąkanemu w ciemnościach pielgrzymowi.

Tak widział Marek Elmer dziwną ulicę. Wracał nią do domu w południe i w nocy. Jego przyjaciel Proveller widział inaczej. Dniem widział giełdziarzy, nocą prostytutki. I nic poza tym. Żadnych królów, żadne rusalki. Zato widział domy, kamienice. To co dla Elmera było tylko wąwozem, brzegiem rozhułkanego rzeki ludzkiej, dla Provellera stawało się logiczną konstrukcją, inżynierską zwrotką, architektonicznym rymem. Budownictwo było dlań poezją, długie strofy kamienie kończyły się pointą parku.

A jednak na politechnikę zapisali się obaj. „Z polonistyki nie będziesz żył, a inżynierem możesz być wszędzie, dokądkolwiek tylko pojechał”. „Ależ ja nigdzie nie chcę wyjeżdżać...” zaperzył się Elmer.

„Wierz mi, że będziesz marzył całe życie o wyjeździe stąd” — zapewniał Proveller, nie zapominaj, że jesteś Żydem”.

„Właśnie, że zapomnę!”

„Nie pozwolą ci zapomnieć.”

„No to umrę tutaj. Za nic... ale po prostu tutaj”.

„A ja będę żył tam” i w oczach Provellera zapalała się wizja, a wyobraźnia z trudem konstruowała wolno i ciężko dalekie miasto skapane w słońcu, zbudowane symetrycznie i prosto. Domy olbrzymie żelbetonowe, asfalt będzie miękki, lepiej już kostki. Ciężko konstruował Proveller. A jednocześnie Elmer bez wysiłku zapalał wizje oaz i palm; wyrsały nagle drzewa cytrynowe i już pachną ciężkie pomarańcze, kwitną smagłe piersi egzotycznych dziewcząt — a niedaleko od rojnego i gwarneho miasta, na odległość jednej zwrotki zaledwie, jednego rymu nawet, płynie karawana wielbłądów. I nagle ponury, ciężki grom: „Cóż to, pytają zaniepokojeni wędrowcy, coż to, czyżby huragan?” A pobladli przewodnicy słuchając powtórnego odgłosu uśmiechają się nagle z ulgą i mówią pogodnie — „nie, panie, to tylko lew...” Odpędzał wizje, gasił, „Nie zapiszę się na politechnikę z następujących powodów” — tłumaczył Provellerowi — „po pierwsze — zupełnie mnie to nie interesuje, po wtóre — nienawidzę żadnych cyfr, obliczeń, statystyk. W budownictwie nie ma niczego twórczego; masz plany, wiesz z góry ile trzeba cegieł, ile wapna, ile z tego wyrosnie piętér, ile szyb i ram okiennych — a wreszcie jedna, mała bomba rozgnięta w ciągu sekundy cały gmach twojej konstrukcji. A tymczasem prawdziwa twórczość musi przetrwać i pożar i bombardowanie i śmierć. Ot, gdyby na przykład spalono wszystkie egzemplarze Pana Tadeusza, ja sam bodaj potrafiłbym skonstruować go na pamięć. Rozumiesz,

całego Pana Tadeusza. Albo, słuchaj. Weź malutki tomik Rimbauda. Poeta sam go zniszczył, podarł, spalił. A jednak tomik zrekonstruowany żyje wciąż jeszcze, a wiersz „Statek pijany” przetłumaczono na wszystkie języki świata, chiński, japoński, żydowski... rozumiesz... I dlatego nie zapiszę się na Politechnikę”. Tak tłumacząc Provellerowi słuszność swojej drogi, odprowadził go Elmer do gmachu Politechniki i wszedł z nim razem, aby się zapisać. W głębi duszy nie wierzył, że go przyjmą. Był wprawdzie bardzo zdolny i bogaty, ale na szczęście — Żyd. Przyjęto go.

Studia były długie i nużące. „To nie — uśmiechał się Proveller — żyć zaczniemy dopiero tam. Żyć i budować”.

„Bardzo cię proszę, abyś mówił o tym w liczbie pojedynczej” denerwował się Elmer.

„O tym nie można w liczbie pojedynczej. O tym musi się w liczbie mnogiej, bardzo mnogiej...” i już trzaskały mu w głowie cyfry, cyfry, cyfry...

Więc Elmer wychodził zły na miasto i wałęsał się, uciekając przed słoneczną wizją, natykał się w najbardziej potwornej dzielnicy miasta na najbardziej potwornych żebraków i nędzarzy, aby plugawie języki zagłuszyły dalekie brzęczenie słodko ocieżyłych pszczoł, a brudne łachmany spadły jak kurtyna, zakrywając pustynny, złocisty szlak.

Najgorzej było w tak zwane wolne dni. Koledzy studenci chodzili do kościołów, przechadzali się z dziewczętami, składali wizyty.

Wojciech Żukrowski

## Książka — dobro zanikające

Lubię książki, lubię to nawet zamało, bo trzeba mnie siłą odciągać od witryn, odganiać od półek, a już biblioteki kolegów muszą być na klucz zamknięte. Księgarze, ci nieliczni z prawdziwego zdarzenia, obciążeni dziedziczną kolekcjonerską namiętnością, od razu poznają we mnie bratnią duszę. Gdy tylko zaczynam grzebać w drukach, wychylony, prawie ulatujący na drabince, przysiadają się w pobliże, naprowadzają na trop, zanim nie pograżymy się w rozkosznej pogawędce, pełnej wyznań i zachwyty, obwarowań, odgroźni od świata stosami starych ksiąg, druków pachnących kurzem i historią.

Potem prowadzą mnie do sekretnych pokoików, by pokazać ostatnie półki, owocujące pysznymi tytułami, kwitnące starą oprawą, skórą tłoczoną i srebrem, po których dłoń przesuwa się ze zmysłową radością. I wtedy oglądając stare sztuchy, zbratani jedną namiętnością opowiadamy sobie o niespodziewanych odkryciach, o porzuconych skarbach i poczyna płynąć straszliwa litania strat, popalonych bibliotek, rozniezionych zbiorów, wspominamy ogromne cmentarzyska zdeptanego ducha, zaprzepaszczonego dorobku pokoleń. I znów patrząc na ocalałe z pogromu szeregi grzbietów, jaśnieję w uśmiechu, ważąc książkę w dłoni szepczę:

Niech będzie chwalony trud księgarzy i archiwariuszy!

Niech będą sławione blade panienci prowadzące katalogi!

Niech będzie błogosławiona bezmieniana dłoń, która podnosi z miłością porzuconą, zdeptaną książkę!

Czyż można mówić o upowszechnieniu kultury, bez planowania ofensywy książki? W czasie Dni Wrocławskich, chodziłem po księgarniach i bibliotekach, zaglądałem, rozpytywałem. Byłem ciekawy, czego dziś się czytelnik domaga, co kupuje, na co czeka. Rozmawiałem z bibliotekarzami.

Książek jest brak. Książek jest za mało i nawet jubileusz setnej publikacji „Czytelnika” nie napelnia optymizmem. Zanim ustawa biblioteczna zacznie praktycznie odciskać się na polu kulturalnym, wej-

dzie w stadium praktycznej realizacji, trzeba rozpocząć gwałtowną kampanię, akcję dla ratowania resztek księgozbiorów prywatnych, porzuconych, niedocenionych, niszczonej w zapomnieniu lub rozpraszanych nieświadomą barbarzyńską ręką.

Nie będę się powoływał na niepokojącą ruchliwość wydawców niemieckich, którzy pod czułą opieką angielską obchodzą już jubileusz tysiącznej książki — to już przestało być odbudową, a pachnie nową agresją. Biją nas oczywiście wysokością nakładów. Dziś i u nas nakłady w stosunku do przedwojennych wzrosły dwukrotnie. Książki, nie mówiąc o podręcznikach, zostają w ciągu dwóch miesięcy wyczerpane. Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau”, Andrzejewskiego „Noc”, trzeba rzucać drugie nakłady. Ta właśnie wzrastająca chłonność rynku, przy wysokiej cenie książki, nawet u najtańszego nakładcy jakim jest „Czytelnik”, wykazuje wyraźnie jak bardzo społeczeństwo jest spragnione artystycznego widzenia przeżytych lat grozy, skontrolowania sądów, jak bardzo szuka prawdy. Tak prawdy artystycznej i wskazań etycznych, upewnienia się, że walka, cierpienia i śmierć miały swój sens ostateczny, sens, który pozwala pogodzić się ze stratą najbliższych, zdobyć odwagę do życia w dzisiejszym zamęciu.

Cena książki jest ciągle zbyt wysoka. Wysokość ceny uniedostępnia książkę przeciętnemu czytelnikowi. Głód wzrósł, ale nie może być zaspokojony. Wymiana nie dokonuje się. Świat stwarza książkę, ale i książka stwarza widzenie świata. Wojna uświadomiła masy, dźwignęła je rewolucja ekonomiczna, przetasowała klasy, zbiedniałe społeczeństwo nie może wybierać między chlebem i książką, chleb, buty, ubranie, własny kąpiel musi pochłoniąć każdy grosz. Książki się pragnie i nie jest się w stanie jej nabyć.

Przeciętna cena książki „Czytelnika”, stale podkreślam najtańszej, nie przekracza 200 zł. Cóż to jest ostatecznie 200 zł? Pół kilograma masła, co w przeliczeniu na cenę przedwojenną odpowiada 1 zł. 50 gr. Ale dziś 200 zł., to przy zarobkach

Elmer i Proveller byli w te dni Żydami bardziej niż kiedykolwiek. Wrażliwy Elmer pisał w takie dni wiersze o jeszcze bardziej nieszczęsnych (tak naiwnie sądził) istotach. Pewnego razu przeczytał Provellerowi:

Czołgają się w dżungli miasta  
[straszni mohikanie,  
zacierają ślady, nad kałużą skaczą,  
tatuują twarze bólem i rozpaczą  
i zastygają stwardniałymi jak kamień.

I prezentują kikuty-reklamy  
brudne neony pokręconych kości  
z gardeł cuchnących bucha gęsty  
[lament

potworne teksty żebractw

[i wciekłości.

Twarcz ich obrzmiewa prośbami, jak balon  
pożółkłe pniaki przezuwają ból,  
każdego znają, wszystkim się kłaniają  
ze szczytu protez i drewnianych kul.

I przyrzekają ci bez entuzjazmu  
jakąś nagrodę nie wiadomo skąd,  
strzelą do ciebie wykrzyknikiem rąk,  
straszna protezą w asfalt twardy  
[trzasną.

Wściekłą harmonię okropnie wykreca,  
buchnie ochryple przedwojenny szlagier,

A kiedy mrok wypęta spod kanałów,  
chowają szyld swój — reklamowy  
[gnat

i do barłogów pelzają pomału  
ciągnąc za sobą węże stęchłych  
[szmat.

patrzą na panie, jak na pyszne mięso,  
z zimnej pogardy drżą ich ciała nagie.

np. maszynistki w Województwie 800 zł. — jest 1/4 pensji, a nawet gdyby zarabiała jak naczelnik wydziału 1.500 zł., to gdy zelówki kosztują 700 zł., przełoży całe buty, nad książkę. Książka prywatnego wydawcy osiąga zawrotną cenę 400 i 500 zł przy podłym papierze i niedbalej stronie graficznej. Jedna strona druku kosztuje wtedy conajmniej 1 zł.

Jak to wyglądało przed wojną? Przy-  
pomnę, książka luksusowo wydana, z ilu-  
stracjami np. „Na tropach Smętka” —  
Wańkowicza, czy Kisielewskiego „Ziemia  
gromadzi prochy” kosztowała 15 zł. Przy  
uposażeniu najniższym 150—200 zł daje  
to 10%—8% pensji. Ale prócz tego była  
taniutka „Bibl. Dziel. Wyborowych”, był  
„Rój”, którego wydawnictwa powieści-  
we nie przekraczały 6—7 zł, były przede  
wszystkim biblioteki i czytelnie dostępne  
dla każdego.

Biblioteki. Do tego zmierzam. Rozma-  
wiałem z właścicielami czytelni w mia-  
steczkach przyłączonego Śląska, słuchając  
ich skarg zrozumiałem, że nawet rozbudo-  
wa do gigantycznych rozmiarów „Domu  
słowa polskiego” projektowanego przez  
„Czytelnika” nie jest w stanie podoląć za-  
daniu. Nie podolają temu spółdzielnie i  
prywatni wydawcy. Bo nikt nie jest w  
stanie dokonać wznowień, rzucić na półki  
książek ostatnich dwóch wieków, książek  
wyniszczonych wojną, książek, których  
stałe ubywa. Do niedawna były jeszcze  
w podziemiach wielkich warszawskich  
wydawców, leżały prawie jak makalatura,  
dziś stają się rzadkością. Nie jesteśmy  
w stanie tego procesu zatrzymać, który  
zresztą po części jest naturalną selekcją,  
jakiej dokonuje wbrew krytykom czas.  
Możemy go jedynie opóźnić, zwolnić do  
tego stopnia, by zwiększająca się stale  
produkcja wydawnicza mogła braki wy-  
pełnić. Śmierć książki przez zacytowanie,  
rozpad kart, zniszczenie okładki jest  
śmiercią naturalną. Jest jej losem. Książ-  
ka uspołeczniona, z wypożyczalni, pracuje  
do ostatniego dnia. Przed wojną zawsze  
wypracowała chleb dla personelu i zastęp-  
czy egzemplarz. Dziś jest inaczej. Książki  
wymiennej nie ma.

Nie będę wspominał ogólnie znanych  
przyczyn, męczeństwa książki, tragicznych  
popiołów. Do wyniszczenia książki przy-  
czynił się dziki podział dworu, gdzie wy-  
ładowywała się bardzo często zwykła  
żądza niszczenia, gdzie zabierano rzeczy



## Listy z Polskiego Zachodu

## Moje rozstanie z Niemcami

Zapowiadane od dawna wysiedlenie obywateli niemieckich z powiatu jeleniogórskiego, oczekiwane z równym zainteresowaniem przez Polaków, jak i Niemców, stało się faktem dokonany. Poprzedziły je dwujęzyczne obwieszczenia Wojewody wrocławskiego, rozklejane na murach kamienic i na słupach do ogłoszeń, wyjaśniające, co mogą zabierać ze sobą repatrianci, jakie przedmioty codziennego użytku, ile kilogramów poszczególnych produktów



żywnościowych. I rozpoczął się normalny odpływ nieproszonych przybyszów, sprowadzanych tu przed laty w celach kolonizatorskich. W przeciwieństwie do metod, stosowanych przez hitlerowskich knechtów w stosunku do Polaków, wysiedlanych z ojczystej ziemi w sposób błyskawiczny z małym zaledwie zawiniątkiem w rękę, Niemcom pozostawiono swobodę w dysponowaniu majątkiem ruchomym, znajdującym się w ich posiadaniu, zezwolono na zabieranie ze sobą całych tobołów i pakownych waliz, wypełnionych po brzegi nie tylko osobistą bielizną, ale i cenniejszymi obiektami, nie stanowiącymi przedmiotów codziennego użytku. Stawaliśmy z podziwem, obserwując to jedyne w dziejach świata widowisko, jak unieszkodliwionych rabusiów puszczano swobodnie z całym dobytkiem, mało, jak ich podwożono wagonami tramwajowymi do stacji kolejowej, jak ich wyprawiano nach der Heimat z całym arsenałem ceremonii dyplomatycznych. Co niektórzy, grzebiąc we wspomnieniach, przypomnieli sobie, jak to z nami obchodzono się czasu okupacji, jak dawano nam wszystkiego parę minut czasu i z okrzykiem „raus“ wypędzano z zagrod i własnych domostw. A tu takie bagaże mogą zabierać ze sobą i jeszcze się ich traktuje z wszelkimi honorami! A Niemcy, którzy jeszcze wczoraj, w przewidywaniu odwetu za zbrodnie, popełniane na wszystkich nacjach, nie wyłączając własnych sprzymierzeńców, Włochów i Węgrów, stali się cisi, jak trusie i poukrywali się, jak myszy pod miotłą, widząc, iż nic im nie grozi ze strony wspaniałomyślnych zwycięzców, znów zaczęli podnosić głowy i pocieszać się, że im też zaśnieć nieza długo słońce i dalej żegnać się z Niemcami, których tutaj zostawiają, podniesieniem prawicy i okrzykiem: „Heil Hitler!“. Byłoby to co najmniej niesprawdzoną pogłoską, gdybym tego na własne oczy nie oglądał i na własne uszy nie słyszał, po spoju z innymi przygodnymi widzami. Taka jest moralność narodu, który nieustannie powołuje się na jakąś misję, wyznaczoną mu rzekomo przez samą historię do panowania nad całym kontynentem europejskim. Przedsmak tego mieliśmy nie tylko w okresie okupowania przez żołdactwo hitlerowskie krajów europejskich, ale grubo przed wojną światową lat 1914—1918, kiedy Niemcy posiadali jeszcze własne kolonie i w sposób haniebny znęcali się nad podległymi sobie plemionami murzyńskimi. Było z tego powodu wiele hałasu w prasie i protestów ze strony różnych lig humanitarnych przeciw metodom, stosowanym przez barbarzyńskich „kulturtraegerów“ z Europy. Niemcy, jak dzikie psy, wymuszają na nas w stosunku do siebie prawo silnej ręki, są jedynym w świecie, a może i we wszechświecie narodem, który trzeba trzymać krótko, podbijać zęby, wytwarzać atmosferę nieustannego lęku, w przeciwnym razie rzucają się do gardła każdego napotkanego przechodnia, gotowi do rebelii. Byli takimi przed wiekami, jak stwierdzają historycy rzymscy, i takimi pozostali dzisiaj, jak to nam pokazała przeżywana niedawno rzeczywistość.

Z sześciu Niemców, którzy zajmowali

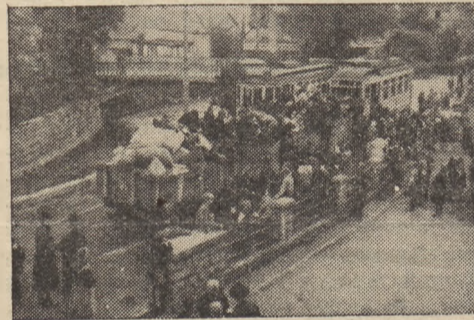
domki, przydzielony mi przez Starostwo Powiatowe w Jeleniej Górze, w kilka dni po rozpoczęciu wysiedlania, zwróciła się do mnie starsza siwa Niemka, dość rozmowna i w miarę sentymentalna, i oświadczyła, że musi wyjechać, bo tutaj to ani ojczyzny, ani rodziny i zaczęła od początku wywodzić dzieje swego żywota, pobyt we Wrocławiu przy niewidomym mężu z dwoma synami, o których dziś, ani słycho, ani dychu, i że Bóg jest wszechmocny i na pewno pamięta o każdym stworzeniu, a oni przecież jeszcze niedawno byli Herrenvolk i panowali nad światem. Łzy ciężkie, jak kule ołowiane, toczyły się po policzkach przy akompaniamencie siąkania nosem i znów, że ojczyzna, że ziemia, że rodzina, a jednak Gott mit uns i on nas wyprowadzi z tej hańbiącej niewoli. Ten Rassenvolk Europy, mający takie wybujałe wyobrażenie o sobie i o swym posłannictwie historycznym, właściwie jest typowym narodem kundli, żadna bowiem nacja nie ma tak mało czystej krwi własnej, co Niemcy, krzyżowani nieustannie z innymi narodami w swych podbojowych wędrowkach po świecie. Stąd zastanawiająca nie raz mieszanina cech różnych narodów, stąd obok słowiańskiej rozmazanej miękkości, jakieś ogłupiające przekonanie germańskie o wyższości swej rasy. Biedne dwunożne kundle Europy, nad którymi niewątpliwie górują czworonożne stworzenia czystością instynktu i zdecydowanym przywiązaniem do swego chlebobdawcy. Cóż było robić? Rozstałem się z moją Niemką nie bez pewnego zawodu, ile że poznałem ją, jako człowieka w miarę obowiązkowego i wyobraziłem sobie, że kto jak kto, ale Frau Mader zostanie u mnie najdłużej i tylko jakaś siła wyższa zmusić ją będzie mogła do wyjazdu. Tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego: jedna z pierwszych i to na ochotnika! Widać, że działała tutaj propaganda niemiecka, mająca na celu wytworzenie dezorganizacji gospodarczej w Polsce przy masowym wyjeździe Niemców.

W dziesięć dni później przyszła kolej na Niemkę z dwojgiem dzieci, żonę gestapowca, która była przewieziona do wysiedlenia w ramach ogólnej akcji wysiedleńczej, jako czynnik wrogi i rozkładowy. Miałem na nią zęba, jak to się mówi, od samego początku, gdy zjawił się tutaj z nominacją w kieszeni do objęcia przyznanego mi obiektu. Gdy ówczesny sekretarz wójta wprowadzał mnie do domu i lustrował pokój za pokojem, asystująca przy tym owa Niemka siepnęła się, jak wściekła suka i przez zęby chlaskała: „Nadejdzie dzień odwetu! Wszystkie nasze krzywdy będą pomszczone!“ Tego było za wiele! Sporządzono protokół i następnego dnia zjawili się przedstawiciele władzy, aby grożącej nam Niemce



przytrzeć nieco uszu. Nie na wiele się to zdało, bo Niemka czmychnęła w pole, schowała się w żyto i przeczekala aż milicjanci odeszli z pustymi rękoma. Nie darowałbym jej na pewno wyrzeczonych grózb, gdyby nie ktoś z mego ówczesnego otoczenia, co poszedł do gminy i wymolestował na wójcie przebaczenie dla Niemki. Słabej był orientacji mój przygodny kompan, co zresztą wykazały i inne jego posunięcia, że stawał w obronie uciśnionej rzekomo nacji niemieckiej, wszystkim Niemcom podawał skwapliwie prawicę swoją, ba! nosił się z zamiarem wychowania na Polaka syna eks-właścicielki domu, który mu przyznano, zabitego Niemczaka, a jeśli jechał do Cieplic, to wykupywał u konduktora, dostatecznie

zdziwionego, bilet ausgerechnet do „Warmbrunnu“. W ten sposób została między nami zakuta Niemka, pod każdym względem wrogo ustosunkowana do nas i na każdym kroku dająca nam odczuć swą nienawiść. Nic dziwnego, wychowywała się w cieniu swego prawowitego małżonka, zbrodniczego policjanta, żyjącego z łupiestwa i grabieży i nie mogło pomieścić się w tym ciasnym łbie, że całe jej życie wyrosło na krzywdzie ludzkiej i że istnieje przecież sprawiedliwość dziejowa i społeczna, co płaci z nadwyżką za każdą przewinę, że nic nie ujdzie pamięci wielkiej Nemezis. Nie widziałem w życiu tak niesympatycznych dzieci, jak tych dwoje Niemczaków, patrzących zawsze z podejrzliwością i śledzących uważnie każdy nasz ruch i każde zachowanie się nasze. Widać, że Mutter dawała im dobrą szkołę, pouczając skrupulatnie, kim są ci polscy przybysze i w jakim celu nadciągają na ziemię nadodrzańskie. Bóg z nimi! Niech Anglosasi w swej wspaniałomyślności budują na nich przyszłość świata, niech z nich wyprowadzają nowy ład społeczny, który każdej chwili może obrócić się przeciw samemu budowniczym i znów zagrozi spragnionej pokoju ludzkości uzbrojona po zęby nacja rabusiów, mianująca siebie nie bez pewnej ironii — Salz der Erde! Cóż, Niemka, z olbrzymimi tobołami i walizkami, naładowanymi czubato na wózek, odeszła, złorzecząc i przeklinając aż uszy puchły, ale myślę, że ziemia polska odetchnęła z niemałą ulgą, gdy żona policjanta hitlerowskiego, Meta Drescher, przestała deptać swymi stopami te kwietne



pagórki, po których stapał przed wiekami lud polski i tu składał swe kości na sen wieczny.

Na parę dni przed zakończeniem wysiedlania Niemców z powiatu jeleniogórskiego, przyszedł do mnie dawny właściciel domu, chudy, trochę ascetyczny typ, o spojonych i uczciwie patrzących oczach, i drapiąc się w głowę, powiedział: „Cóż, i ja musiałem się zdecydować. Gdy-

by to ode mnie zależało, pozostałbym tutaj najdłużej! Urodziłem się przecież tu i całe życie tutaj spędziłem. Ale moja Frau za żadne skarby nie chce zostać! Ma nerwy rozstrojone. Codziennie narzeka na silne bóle głowy, nie może pogodzić się z tymi faktami, że tyłu Niemców i to dobrych znajomych, już odjechało. Więc i my się chyba zabierzemy!“ Widziałem, jak w ciągu dni poprzedzających wyjazd, krążył dokoła domu, oglądając każdy nie-



mał narożnik. Widać było, jak mu trudno rozstać się z domem, w którym spędził młodość i przeżył wszystkie lata. Byłem przekonany, że gdyby nie żona, tępa i twarda Niemka, nie ruszyłby się stąd i kto wie, czy nie wszcząłby starań o przyznanie mu obywatelstwa polskiego. Wszak w jakiejś chwili roztkliwienia przyznał się, że miał w swej rodzinie Polaków. Ten sentymentalizm, który wylał z niego, jak sztydło z worka, był niewątpliwie słowiańskiego pochodzenia. Zresztą i nazwisko Leiser wskazywało na pochodzenie raczej polskie. W okresie wzmoczonej germanizacji zmieniano Polakom dość często nazwiska, nie pytając nawet o zgodę strony zainteresowanej. Znane są wypadki z kronik śląskich, jak z Jana Brunatnego zrobiono Johanna Brauna, z Tkocza — Webera, a z Czarnego — Schwarzera! I tutaj najprawdopodobniej Cichego przemianowano na Leisera! Było to bezwątpienia dawno i on sam już nie wiedział i pewnie nawet nie wyobrażał sobie w najśmielszych marzeniach, że mógł nazywać się inaczej. W dniu wyjazdu przyszedł do mnie, pożegnał się spokojnie i opanowany — prosił tylko, by pamiętać o kocie, który po całych dniach przebywania gdzieś poza domem i tylko wieczorami przychodzi na nocleg. To była ta najważniejsza sprawa, z którą wystąpił w chwili ostatniej! I tu znów wyszło z niego w całej pełni pochodzenie słowiańskie.

Takie było moje rozstanie z Niemcami, z którymi los skuł mnie pod jednym dachem przez wiele miesięcy, ucząc mnie niejednego w osiągnięciu poznania człowieka, któremu na imię Niemiec, a który w swej zachłanności materialnej i w żądzy podbojów, zatracił poczucie człowieczeństwa.

Edward Kozikowski.

## W nadodrzańskiej wsi

W pół drogi między asfaltowym traktem a wsią, zatrzymała mnie starowina z pustą torbą, tymi słowami: „Panoczku, tóż bydziecie tacy dobrzy, a dejcie mi choć jeden złotek“. Ze sposobu, w jaki to powiedziała, wyczułem, że mówiła to już bardzo wiele razy. Wdawszy się w rozmowę, dowiedziałem się następujących szczegółów: nazywa się Dąbek, mieszka na Starejwsi w Raciborzu, lat 64, mąż lat 70, żyją zupełnie samotni, bo synowie nie wrócili jeszcze z wojny i nie wiadomo w ogóle, gdzie się znajdują. Są zweryfikowani. Nie otrzymują żadnej renty, a kartki żywnościowe kat. III rodzinnej. „To wiedzą, panoczku, co się to na takie kartki dostanie. Odrobina tego chlebiczka. A omasty ani mięsa nie dostałach jeszcze od początku nic“. Od początku, to znaczy od marca ub. roku. Więc jak żyje? Z łaski bliźnich. Raz ten, raz ktoś inny dają co zjeść, a od czasu, gdy się tylko trochę ociepliło, chodzi na żebry. Sama, bo „stary, wiecie panoczku, już nie umie chodzić“. Zwracam uwagę, że stąd do Raciborza jest przecież blisko 40 km, a wieczór zapada. „Kajś mie tam przenocują, a do niedzieli jakoś zajda do dom“. Pytam jeszcze dlaczego nie ma nic w tej torbie. „Bo to widzą, tako byda na tych wsiach. Ci boroczkuwie ludzie sami nic nie mają“.

To spotkanie zarysowało przede mną jeden z najważniejszych problemów polskiej

ludności na Opolszczyźnie, a prawdopodobnie i na innych terenach Ziemi Odzyskanych.

Wchodzę do wsi. Nie widać wojennych zniszczeń, mimo, że na okolicznych polach pełno lei od bomb, które miały trafić do wielkiej fabryki benzyny syntetycznej, leżącej dwa kilometry od wioski, mimo wielu zardzewiałych beczek przy drodze, w których były składniki, wytwarzające sztuczną mgłę, mimo tu i ówdzie wśród zboża sterzących zardzewiałych armat. — Więc wieś wywiera, rzec można, „przedwojenne wrażenie“, czyżby więc istotnie ci „boroczkuwie ludzie sami nic nie mieli“?

Istotnie.

Jestem u jednych znajomych sprzed wojny. Ta znajomość obowiązuje do zupełnej szczerości. Rozglądam się po domu. A gdzie wasze dawne meble? Dowiaduję się, że zostali ewakuowani do baraków w lasach, gdy front się zbliżał. A kiedy front się przesunął i wrócili do domu, zastali gołe ściany. Więc skąd te trzy żelazne łóżka, te taborety, ten t. zw. wojskowy „szpind“, czyli wąska, wysoka szafa z dytki? To wszystko z baraków jeńców i robotników, zatrudnionych przy fabryce. A co z odzieżą? Mają to, co na sobie. Kupić nie ma za co, bo metr zwyczajnego katunu kosztuje kilkaset złotych. Ale przecież trochę pie-



